

KRZYSZTOF A.
ZAJĄS

OSZPIJNY

PRZERAŻAJĄCY DRESZCZOWIEC, KTÓRY NIE DA CI ZASNAĆ.
DOPÓKI NIE PRZECZYTASZ GO DO KOŃCA.

WOJCIECH CHMIELARZ

MARGINESY



KRZYSZTOF A.
ZAJAS



MARGINESY

*Mojej nieżyjącej Mamie, Helenie Zajas z domu Czernek,
oraz Henrykowi Schönkerowi – dwojgu oświęcimianom,
którzy nigdy się nie spotkali, a powinni byli.
Ta powieść jest w jakimś sensie ich niemożliwą rozmową.*

*Ja sobie wmawiałem, że to powietrze jest martwe. Że śmierć
chodzi w powietrzu.*

Zygmunt Feiler, wypowiedź na stronie www.oszpicin.pl

*musimy zatem wiedzieć
policzyć dokładnie
zawołać po imieniu
opatrzyć na drogę*

Zbigniew Herbert, *Pan Cogito o potrzebie ścisłości*

CZĘŚĆ PIERWSZA

1994

Dzieci się bawią

czy nie widzicie? ta zgasła świeca jest czartem.

K.K. Baczyński

Widziałem tego człowieka zaledwie trzy razy. Może cztery, ale czwartego razu nie jestem pewien. Zawsze, bez względu na pogodę, miał na sobie czarny kapelusz i długi brązowy płaszcz z dobrej wełny, z futrzanym kołnierzem, jakie nosiło się pół wieku wcześniej. Czwartego razu nie jestem pewien, ponieważ nie widziałem twarzy. Trudno powiedzieć, czy miał wtedy jeszcze jakąkolwiek twarz, ale takie stwierdzenie na samym początku wystawia mnie na śmieszność. Tracę wiarygodność, a do opowiedzenia tej historii będzie mi bardzo potrzebna. Znacznie bardziej niż ustalanie, czy za czwartym razem miał twarz, czy jej nie miał. Mówię poważnie.

Pierwszy raz spotkałem go w roku 1994, we wrześniu, podczas pełni księżyca. Nie, żadne wampiry, nic z tych rzeczy. Najzwyczajniej wracałem z wyjazdu do Sęgni, gdzie ktoś podobno coś znalazł, a ponieważ prawdopodobnie to coś było złote, ukrył i nie chciał oddać. W tych okolicach, gdzie ostatnia wojna oprócz pamiatki bezprzykładnej makabry rozrzuciła również tu i ówdzie trochę złota, tego rodzaju sensacje budziły szczególne zainteresowanie. Niemal każda rodzina miała na ten temat swoje opowieści, latami układane z faktów, domysłów i plotek głęboko zanurzonych w ludzkiej potrzebie przekształcania pragnień w legendę. Wiadomość o skarbie w Sęgni przekablował mi pan Bolek Czech, jedyny policjant na tamtejszym posterunku, gdy tylko po uprzejmym donosie od sąsiadów wyruszył na wieś. Od razu zadzwonił do redakcji. „Dziennikarz powinien się dowiedzieć pierwszy, nie?”, wyjaśnił ze śmiechem kierujące nim motywy, ale ja wiedziałem swoje. Liczył na to, że załatwię jego córce pracę. Kończyła polonistykę w Krakowie i podobnie jak armia koleżanek i kolegów szukała jakiegokolwiek zajęcia, by nie umrzeć z głodu. Humanisci tak mają. Z pogardą odrzucają przyziemny pragmatyzm, a potem płaczą. Cóż, nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Stary kawaler Władek Borowiec, operator koparki z sępniańskiej spółdzielni rolniczej, kopał rowy pod fundament nowej wiaty. Miał pod nią stanąć świeżo zakupiony kombajn, który nie mieścił się w starych garażach ze względu na rewelacyjnie szeroki nagarniacz do zbóż – ponad sześć metrów! Takiego jeszcze tu nie widzieli i trzeba było wybudować osobne stanowisko, z odpowiednio wzmocnionym podłożem. Około południa Borowiec porzucił swoje zajęcie i zniknął, a mieszkańcy sąsiadującego z placem domu natychmiast zadzwonili do prezesa. Nie potrafili wyjaśnić, w jakim celu pilnie obserwowali pracę operatora, twierdzili, że tak tylko, z nudów. W ich przekonaniu Władek znalazł coś bardzo cennego („Torbę ze złotem, panie!”) i polecił to schować. Matka i dwóch synów opowiadali z przejęciem, nawzajem sobie przerywając i ustalając na bieżąco szczegóły. Przysięgali na rany Chrystusa, że operator biegł pochylony, trzymając się za brzuch, gdzie na pewno coś ukrywał. Prezes zadzwonił do starszego aspiranta Czecha, a ten do mnie i we trójkę poszliśmy szukać Borowca z workiem złota.

Znaleźliśmy go po godzinie, w sadzie za domem, gdzie ostrzył szpadel.

– Borowiec, czego nie pracujecie? – spytał ostro prezes.

Mężczyzna natychmiast złapał się za brzuch.

– Zebrało mnie, panie prezesie. Musiałem.

Kiedy mówił, jego oczy latały na wszystkie strony, jakby najciekawsze rzeczy działy się gdzieś za naszymi plecami.

– Ale już wam przeszło? – cisnął przełożony.

Borowiec nie umiał wyjaśnić, dlaczego nie wrócił do pracy. Nie powiedział, do czego mu naostrzona łopata. Odpowiadał półsłówkami i zerkał w bok.

Ja nie pytałem o nic. Zauważyłem tylko, że łopatę u góry, w miejscu mocowania trzonka, oblepiały resztki świeżej ziemi. Dzień był słoneczny i suchy, co znaczyło, że ktoś nią kopał całkiem niedawno, w ciągu ostatniej godziny. Podczas gdy prezes i Czech usiłowali wydobyć z niego jakieś informacje, ruszyłem na obchód ogrodu. W tej samej chwili usłyszałem za sobą wściekły krzyk. Bo-

rowiec zostawił swoich rozmówców i rzucił się za mną ze stkiem wyzwick, z których zrozumiałem, że to jego ziemia i nie mam prawa po niej chodzić. Zanim zdołałem zrobić zdziwioną minę, zaczął szarpać mnie za bluzę. Nie jestem gigantem, ale potrafię się bronić, więc go przewróciłem na trawę i wykręciłem ręce na plecy. Charczał jak wściekły zwierzę, kiedy rozglądałem się po ogrodzie.

Jeśli martwy przedmiot może stać głupio, to tak właśnie stała beczka na deszczówkę w rogu szopy. Nie pod zardzewiałą końcówką rynny, tylko pół metra dalej. Pod rynną widniało jedynie odciśnięte w podłożu kółko. Odsunęliśmy beczkę i naszym oczom ukazał się placek równiutko uklepanej ziemi. Dopiero co naostrzoną łopatą odgarnąłem wierzchnią warstwę i wyjąłem niewielkie zawiniątko. Tamci trzymali Władka Borowca we dwóch, ale i tak się wyrwał, skacząc na mnie z obłędem w oczach. Moje ciało zareagowało samo – niemal bezwiednie uderzyłem go trzonkiem najpierw w krocze, a potem w kark. Kiedy zgiął się w pół i opadł na kolana, starszy aspirant Czech skuł go na wszelki wypadek kajdankami. W trójkę pochylił się nad znaleziskiem. W natłuszczonej szmacie znajdował się srebrny rewolwer z drewnianymi okładzinami na kolbie i pustym bębenkiem. Oczywiście, facet nie miał pozwolenia na broń i nie chciał powiedzieć, jak wszedł w jej posiadanie. Dopiero kiedy prezes zapytał, czy to znalezisko z placu budowy, uśmiechnął się szeroko i odparł, że tak.

Zabrali go do komendy w Oszipicy, żeby spisać zeznania i sporządzić oskarżenie o nielegalne posiadanie broni, a ja popytałem jeszcze sąsiadów o torbę ze złotem, a kiedy zrobiło się ciemno, ruszyłem z powrotem do domu. W drodze myślałem o pytaniu prezesa, a właściwie podpowiedzi, i postanowiłem zapamiętać ten epizod.

Nie był to rewelacyjny materiał na artykuł, ot, takie tam igraszki lokalsów z wojenną historią w tle, dlatego trochę zdegustowany i zły postanowiłem się odstresować i wróciłem do miasta okrężnie, przez Szerszeń. Miałem tam takie miejsce, gdzie oddawałem się pewnej przyjemności. Nie, nic z rzeczy zakazanych, po prostu

lubię sikać na łonie natury. Wielu facetów lubi. U mnie to rodzaj drobnego prywatnego obrządku, trochę jak u dzikich zwierząt, które znaczą sobie terytorium. Moim terytorium była grobla między starymi stawami, porośnięta drzewami po obu stronach. Środkiem biegła wąska droga z błotnistymi koleinami, które nigdy do końca nie wysychały. Zaparkowałem na wydeptanym skrawku pobocza i ruszyłem między stawy. Wieczór rozlał się po wodzie oleistą mazią. Nad lasem unosił się księżyc i rzucał na staw swoje obolałe odbicie. Było niesamowicie cicho. Żadnego chlupotu fal, żadnego plusku ryb, nawet żaby zamilkły. Nagle niebo tuż nad księżycem przecięła meteor. Szedł niemal poziomo i żarzył się jasno, by na koniec buchnąć mocniejszym płomieniem, jak flara, i zgasnąć. Przez moment jeszcze nad horyzontem majaczyła świetlna krecha, a potem znikła. Wrześniowa perseida! Są rzadkie i zwykle słabe. Po nacieszeniu oczu uroczym widowiskiem zawróciłem do samochodu, spojrzawszy w lewo, gdzie ciągnęły się błotniste koleiny wiodące w czarny tunel pod księżycem, sklepiiony koronami dębów i olch. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może po prostu spodobała mi się ciemność pod dachem z dębowych liści, których błyszcząca powierzchnia połyskiwała drobinami żółtego światła. Może w absolutnej ciszy usłyszałem jakiś dźwięk. A może dostrzegłem ruch, nie wiem. Po prostu zrobiłem to: przystanąłem i wpatrywałem się w tę nieprzeniknioną czeluść.

Ktoś stał pod drzewem.

Chyba wiedziałem, że tam stoi, jeszcze zanim zobaczyłem go w światłach samochodu, który daleko za mną brał zakręt. Snop światła omiół okolicę jak latarnia morska w przyspieszonym tempie, ale to wystarczyło. Ktoś stał i patrzył na mnie. Błysnął czarny kapeluszyk, wąska, ostra twarz, jak u ludowego świętka, prosty płaszcz z grubym kołnierzem. Oczywiście... wydawało mi się, że są czerwone. Odległość wynosiła jakieś piętnaście metrów, a jednak widziałem go wyraźnie.

Światła samochodu znikły i wróciła martwa cisza. Nie miałem przy sobie latarki ani niczego do obrony, mój nóż myśliwski zo-

stał w bagażniku poloneza. Ja się jeszcze nie bałem, ale moje ciało już tak. Po skórze biegały drobinki dreszczy. W takich chwilach człowiekowi zwykle przychodzi do głowy dwie nawzajem wykluczające się reakcje. Albo rzucasz się do ucieczki, albo stoisz nieruchomo z nadzieją, że gość sobie pójdzie. Każde z rozwiązań ma swoje minusy. Ucieczka prowokuje pogoń, a czekanie w miejscu daje przewagę przeciwnikowi. Chyba dlatego postanowiłem do niego podejść. Ale po co? „Przepraszam, czy pan przypadkiem nie chce mnie zabić? Bo jeśli tak, to pozwoli pan, że zacznę uciekać”. Oczywiście usiłowały przebić się przez księżycową poświatę i rozpoznać kształty w napiętej czerni. Ruszyłem powoli i był to chyba najwolniejszy marsz w moim życiu. Stawiałem kroki do przodu, ale jakbym szedł do tyłu. Kiedy pod butem chrupnęła złamana gałązka, wszystkie włosy stanęły mi dęba. Nieuchronnie zbliżałem się do granicy światła i cienia, owal księżycy przesłoniły korony porastających groble drzew. Oswajałem się z mrokiem, spięty do granic wytrzymałości i gotowy pod byle pretekstem zwać na szosę do samochodu. Widziałem już zarys pnia, odległy o trzy, cztery metry...

Nikogo nie było. Dreptałem na palcach, gotów w każdej chwili uskoczyć czy zasłonić się, nie wiem. Oczywiście z wolna przyzwyczajają się i widziały coraz więcej, wpatrując się w ciemność jak w ekran, na którym zaraz pojawi się upiorna postać. Nie pojawił się nikt. Z trudem postawiłem kilka kroków, z wyciągniętymi rękami, jakbym chciał rozgarnąć tę błotnistą czerń. Cisza. Nic. Nikogo.

Musiało mi się przywidzieć. Wycofałem się tyłem w krąg księżycowego światła i dopiero tam zorientowałem się, że cały czas ściskam w dłoni pęk kluczy, jak kastet. Szedłem do samochodu, wciąż oglądając się za siebie. Wszystko jakby wracało do normy. Ciepły wrześniowy wieczór na powrót wygładził się w piękny obrazek, z księżycem w tle. Gdzieś daleko zaszczekał pies. Wracał też spokój. Zwolniłem kroku. Przed wejściem do samochodu niemal dla formalności obejrzałem się ostatni raz i moją uwagę przyciągnął pływający środkiem stawu przedmiot.

Spokojnie.

Zdarza się, że ludzie wrzucają do wody rozmaite rzeczy.

Niektóre z nich nie toną, tylko pływają po powierzchni do czasu, aż ktoś je wyłowi albo rozpadną się ze starości.

Latem dzieci kąpią się w tych stawach i jedno z nich zapomniało zabrać kółko do domu.

Jest koniec września, nie kąpią się od miesiąca.

Guma jest trwała.

Środkiem oświetlonego księżycem stawu płynęła dmuchana dziecięca zabawka. O tej porze trzciny są jeszcze zielone, ale już dorodne, okazałe, z szerokimi liśćmi, które trącone najśłabszym powiewem wiatru, ocierają się o siebie z szelestem. Brązowe pałki gną wierzchołki ku ziemi i napinają łodygi, gotowe w każdej chwili wystrzelić w górę lub opaść. Teraz panowała kompletna martwota. Pochylone gromady trzciny wyglądały jak kolumna zgarbionych uchodźców, zastygłych w pół kroku. A jednak gumowa zabawka sunęła jednostajnie po błyszczącej powierzchni wody, pchana przez nic. Miała kształt żaby, z szeroko rozcapierzonymi łapami i kulfoniastym, niezgrabnym łbem z przodu. Nie przypominała nadmuchiwanego kółka ze sklepowych, poza tym była cienka, jakby za chuda. Nie mogłaby utrzymać na powierzchni nawet całkiem małego dziecka. W pierwszej chwili pomyślałem, że jest słabo nadmuchana, ale chyba nie do końca o to chodziło. Coś było nie tak z łapami. Sterczały dziarsko na cztery strony, śmiesznie długie i sztywne jak patyki. Kiedy tak płynęło przed siebie, kółko naprawdę przypominało żabę. Wielką żabę, z grzbietem przestrzelonym na wylot armatnią kulą.

Zapominając o niedawnym strachu, poszedłem groblą do miejsca, skąd najlepiej było widać sunący po wodzie obiekt, i usiadłem na miękkiej trawie, nie spuszczać z niego oka. Zaokrąglony łeb na przedzie rozgarniał wodę. Spod tylnych łap rozchodziły się smukłe prążki fal, które tworzyły za żeglującą żabą regularny stózek. Płynęła prosto na mnie. Bezgłośnie. Jednostajnie. Jak łódź.

Zatrzymała się pięć metrów od brzegu. W blasku księżyca widziałem sztywne przednie łapy, obły tułów z wielką dziurą po-

środku oraz wpatrzone we mnie oczy. Czerwone. Kto wpadł na idiotyczny pomysł, by zielonej żabie domalować czerwone oczy? Widzieliście kiedyś coś takiego? Te niewątpliwie były czerwone. Podpłynęła i znieruchomiła przede mną, jak niemy świadek nieznanego.

Wzdrygnąłem się i odruchowo podciągnąłem do góry stopy. W tym momencie dmuchnął wiatr. Trzciny ożyły i wokół mnie rozległ się szelest papirusowych szeptów. Gładkie dotychczas lustro wody pofałdowało się i chlupnęło o brzeg, łeb żaby uniósł się i opadł. Trwało to sekundę, ale wystarczyło. Zerwałem się i pobiegłem do samochodu. Mój cień biegł nieco szybciej. Dopadłem poloneza, przekręciłem kluczyk w stacyjce i głośno poganiałem rżężący rozrusznik. Coś krzyczałem, ale nie pamiętam co. Na pewno kłamię na ten nieszczęsny mechanizm. Kiedy wreszcie odpałi, wrzuciłem jedynkę i z rykiem silnika wydostałem się na szosę. Gnałem środkiem drogi w kierunku miasta, patrząc w lusterko, czy koszmarna żaba mnie nie ściga. Nagle przestałem zerkać, zdjęty nowym strachem, że go zobaczę za plecami, na tylnym siedzeniu. Czerwone oczy, ostry nos, lekko rozchylone w uśmiechu usta... te same co u dmuchanej zabawki. Dodałem gazu i powtarzałem na głos jakieś słowa, chyba imiona szkolnych kolegów, żeby nie myśleć.

Żaba na wodzie miała twarz mężczyzny spod drzewa.

Po powrocie do domu zamknąłem się w sypialni, padłem w ubraaniu na łóżko i próbowałem poukładać te kawałki w sensowną całość. Mężczyzna pod drzewem i dmuchana żaba. Cisza i nagły podmuch. Ciemność i światło księżyca. Pary. Brakowało trzeciego składnika, łącznika, spoiwa. Doszedłszy w nerwowych rozważaniach do tego punktu, przypomniałem sobie jeszcze jeden szczegół. Żaba na czubku łba miała znak, dwa trójkąty równoboczne złączone wierzchołkami. Coś jak pozioma klepsydra.

Na trzeci element układanki musiałem zaczekać pięć lat.

Śmierci sympatycznych państwa Kolanowskich początkowo nie poświęcano nadmiernej uwagi. Przez całą jesień 1994 roku w centrum zainteresowania znajdował się worek ze złotem, jaki rzekomo wykopał Władek Borowiec na placu sępniańskiej spółdzielni rolnej. Niemal codziennie do redakcji „Głosu Oszpicyna” dzwonił ktoś z nową rewelacją, której był „absolutnie pewien” i na którą miał „niezbite dowody”. Te sensacje – a raczej doniesienia, bo miały wiele wspólnego z donosami – trafiały oczywiście do mnie, Wojciecha Jaromina, dziennikarza piszącego artykuły o skarbie z Sępni.

– Proszę pana, tu nie ma co owijać w bawelnę! – twierdziła kategorycznie pewna nobliwa dama. – Wszyscy wiedzą, że tamci groszem nie śmierdzą, a nagle dom zaczęli budować! To ja się pytam: za co? Skąd wzięli pieniądze?

– No właśnie, skąd? – grałem głupka.

– Jak to skąd? Wykopali!

– A gdzie wykopali?

– To już wasza robota, dowiedzieć się gdzie. Od tego są dziennikarze – burknęła i się rozłączyła.

Inny pan z kolei był pewien, że jego sąsiad regularnie nocami penetruje teren za domem z wykrywaczem metali i kartką w ręku. „Musi mieć jakiś plan, co nie?” – pytał podchwytliwie, chcąc koniecznie wzbudzić moją ciekawość. Połknąłem haczyk i pojechałem do sąsiada na rozpoznanie. Okazało się, że owszem, chodził wieczorami po ogrodzie, ale latem, gdy zwalczał ślimaki, a na kartce miał instrukcję stosowania środka chemicznego. Starsze małżeństwo z przedmieścia chciało mnie koniecznie namówić na rewizję z asystą policji u pewnego pana naprzeciwko, ponieważ „tam się straszne rzeczy dzieją w piwnicy”. Kiedy odesłałem ich na komisariat, zaperzyli się, że nie są żadnymi donosicielami i że to ja powinienem załatwiać „podobne sprawy”.

Po kilkunastu takich telefonach straciłem ochotę na ich odbieranie, dlatego kiedy zadzwoniła tamta kobieta, początkowo ją zlekceważyłem.

– Kogo, pani zdaniem, powinienem tym razem odwiedzić? – spytałem, żując bułkę z szynką.

– Mnie – odparła zupełnie poważnie.

– O! Czy my się znamy? Nieważne, poznamy się. Już jadę!

– Proszę nie żartować. Pamięta pan nieszczęśliwy wypadek sprzed trzech tygodni? Babcia i dziadek przejechani przez własnych wnuków?

– Oczywiście. O co chodzi?

– Jestem matką tych chłopców – odparła głosem z dna studni, a ja od razu odłożyłem bułkę na stół i wzięłem do ręki długopis. Doskonale pamiętałem tamten wypadek.

Na początku października starsi państwo zabrali wnuki na działkę, podjechali pod domek i wysiedli, żeby otworzyć drzwi. Kiedy oboje znaleźli się przed samochodem, jeden z siedzących w środku braci bliźniaków błyskawicznie przeskoczył z tylnego siedzenia za kierownicę, przesunął automatyczną skrzynię biegów na D i wcisnął gaz. Policjanci nie umieli sobie wyobrazić, jak siedmiolatek zdołał tak szybko osiągnąć stopą pedału, w każdym razie wysoko orurowany nissan patrol przygniótł starszych państwa Kolanowskich do ściany domku. Zmarli przed przybyciem lekarza. Pogotowie zawiadomił jeden z działkowiczów, zaalarmowany hukiem gniecionej blachy i miażdżonych kości. Na widok masakry zachował na tyle zimną krew, by pobiec do budynku administracji ogródków działkowych i zadzwonić. Kiedy wrócił na miejsce tragedii, chłopcy nadal siedzieli w samochodzie. Nic nie mówili, tylko patrzyli przed siebie. Lekarz uznał, że są w szoku, i zaczął delikatnie ich pytać. Ten zza kierownicy nie umiał powiedzieć, dlaczego to zrobił. Po prostu zrobił, i tyle. Żaden z nich nie płakał.

Pierwszy na miejsce przybył wtedy Mariusz Węgrzyn, znajomy policjant. Od niego usłyszałem tę historię. „Możesz sobie wyobrazić dziecko, z którego wielka pompa wyssała życie? Oni tak

wyglądali”. Słuchając martwego głosu kobiety po drugiej stronie słuchawki, przypomniałem sobie tamte słowa aspiranta Węgrzyna.

– Na kiedy jest to zaproszenie? – spytałem, unosząc się na krześle.

– Na teraz. Czekamy z mężem.

Zawinałem resztę bułki w papier, schowałem do plecaka i ruszyłem do wyjścia.

Wyszedłem na korytarz budynku ratusza, gdzie dzięki prezydentowi miasta mieliśmy na drugim piętrze redakcję. Znak tyleż jego uprzejmości, co chęci kontroli lokalnych mediów. Zbiegając po schodach, natknąłem się na radnego Łopatkę. Usiłowałem go wyminąć, ale zagroził mi drogę.

– I co, znalazł pan ten skarb? – zapytał. Są tacy ludzie, w których śmiechu słychać piłowanie przeciwnika na pół. Radny do nich należał.

– Nie – odparłem i chciałem pójść dalej, ale przystawił mi palec do piersi. Jak pistolet.

– Pamiętaj, synu, że od kopania w tym mieście jest Łopatko – powiedział z uśmiechem. A potem nagle spowaźniał i pchnął mnie tym swoim palcem. – Zrozumiałeś, co mówię?

– Trudno nie zrozumieć. Łopatka, do kopania.

Przecisnąłem się między balustradą a jego wypiętym brzuchem i zbiegłem po schodach. Przechylił się i krzyknął za mną:

– Jak coś znajdziesz, Jaromin, najpierw przyjdź do mnie. Inne pomysły odradzam. Słyszałeś?

Oczywiście, że słyszałem, ale nie miałem zamiaru odpowiadać. Powtarzał to kilkakrotnie w ciągu ostatnich tygodni, bynajmniej nie w formie grzecznej prośby. Alfred Łopatko był w tym mieście nie tylko radnym, ale i biznesmenem budowlanym, co próbował ukryć, przekazując dyrektorski stołek jednemu z zaufanych kumpi, o czym wszyscy wiedzieli. Miał też w kieszeni pozostałych radnych, a prezes spółdzielni rolniczej w Sępni był jego krewnym. Zainteresowanie owianymi legendą znaleziskami w tych okolicach zdawało się wzbudzać w nim nieopanowaną gorączkę.

Podjechałem pod elegancką willę. Stara ulica prowadziła w dół miasta i dalej do sztucznego zbiornika wodnego, z przystanią dla łodzi i kawiarnią na piętrze nad jachtklubem. Mój ciemnozielony polonez wśród parkujących tu samochodów prezentował się jak ubogi rezydent przy pańskim stole. Jak łachmyta na weselu. Kundel na wystawie psów rasowych. Na podjeździe u Kolanowskich stał słynny nissan patrol, który widocznie nadal przedstawiał dla nich większą wartość niż świeżo nabyta trauma. Zanim zdołałem gruntownie zastanowić się nad tym, skąd ci wszyscy ludzie wzięli takie auta na samym początku gospodarczej transformacji post-sowieckiego kraju, drzwi się otwarły i stanęła w nich ubrana na czarno blondynka. Zeszła do mnie po trzech schodach i pierwsza wyciągnęła rękę.

– Ewa Kolanowska. Dziękuję, że pan przyjechał.

Miała drobną, okrągłą twarz, ładnie zarysowane usta i proste włosy, obcięte powyżej ramion. Po powitaniu założyła kosmyk za prawe ucho i poprowadziła mnie do środka. Szedłem za nią po stopniach, mając przed nosem rytmicznie pracujące pod obcisłą spódnicą pośladki i myśląc o tym, jak erotyczna potrafi być żałoba. Onieśmielony błyszczącymi podłogami, chciałem w przedpokoju zdjąć buty, ale powstrzymała mnie. Obawy o stan podłóg w salonie okazały się płonne, ponieważ wcale nie tam mnie poprowadziła, lecz do gabinetu po prawej stronie, gdzie w fotelu czekał jej mąż. Wysoki, na krótko ostrzyżony szatyn, przedstawił się jako Ryszard Kolanowski. Na stoliku stała kawa i ciastka. Kobieta starannie zamknęła drzwi. Usiadłem.

– Czemu zawdzięczam to miłe zaproszenie? – spytałem, kiedy już nalano mi kawy i podsunięto herbatniki. Natychmiast zjadłem dwa.

– Chodzi o to, że nie wiemy... – zaczęła kobieta, ale zgubiła wątek i nie umiała wybrnąć z tej frazy. Z głośnym chrzęstem wyłamywała sobie nadgarstki w dłoniach.

– Chodzi o naszych synów – podjął jej mąż. – Coś dziwnego się z nimi dzieje. Nie wiemy, jak to wyjaśnić.

Uniosłem filiżankę z kawą do ust i czekałem na dalszy ciąg, ale teraz zamilkli oboje. Z oczywistych dla dwudziestopięciolatka powodów Ewa budziła moje większe zainteresowanie, więc spojrzałem na nią.

– Macie państwo na myśli tych dwóch chłopców, którzy spowodowali... to znaczy przyczynili się do śmierci... – Teraz ja nie umiałem skończyć zdania.

– Moich rodziców – dokończył Ryszard. – Piotrusia i Pawełka. Oni, jak by to powiedzieć, nie są normalni.

Znowu zamilkł, a ja wciąż patrzyłem tylko na nią. Zginała nadgarstek, aż rozlegało się ciche pstryknięcie, wtedy zginała drugi, pstryk, i tak w kółko. Wzrok miała skierowany gdzieś w dół na lewo, pod stolik z kawą i ciastkami. Założyła nogę na nogę, smukłe łydki w kształcie odwróconego V prezentowały się fenomenalnie.

– Nic dziwnego, że zachowanie odbiega od normy – odezwałem się po chwili daremnego oczekiwania na konkrety. – Taka trauma musiała odbić się na ich psychice. Dziwne byłoby, gdyby się nie odbiła. Obawiam się jednak, że to zadanie raczej dla terapeuty niż dziennikarza. Czy chłopcy są pod opieką psychologa?

Kierowałem pytanie do matki, ale znowu odezwał się ojciec. Jako głowa rodziny poczuwał się do prowadzenia rozmowy. A może po prostu był odważniejszy od niej.

– To nie jest tego rodzaju dziwne zachowanie, o jakim pan myśli. Nie chodzi o szok, w każdym razie nie taki, jakiego można by się spodziewać. Właściwie to oni są całkiem spokojni, czasami jakby nawet trochę za spokojni. Śpią normalnie, dobrze jedzą, bawią się z kolegami, chodzą do szkoły i nie mamy żadnych skarg od nauczycieli. Słowem, wszystko jest w porządku.

– Ale nie jest – rzuciła kobieta i pokiwała głową, jakby chciała samą siebie utwierdzić w przekonaniu, że ma rację. Potem odchyliła się do tyłu i zmieniła nogi, kładąc lewe kolano na prawym. Błysnęły białe majtki. Szybko odwróciłem wzrok.

– Czy zechcieliby państwo podać mi więcej szczegółów? Na razie to wszystko brzmi dosyć enigmatycznie, pomijając

fakt, że nadal nie rozumiem, dlaczego zwracacie się akurat do mnie.

Wymienili krótkie spojrzenia i tym razem to ona zdecydowała się na dłuższą przemowę. Zrozumiałem, że telefon do mnie był jej pomysłem i uważała za stosowne teraz się z niego wytłumaczyć. Byłem wówczas dosyć pewnym siebie, nieco bezczelnym młodzieńcem, świat stał, a może siedział przede mną otworem i mogłem z niego brać, na co miałem ochotę. Gdybym wtedy, w 1994 roku, wiedział to, co wiem dzisiaj, nie słuchałbym jej i wyszedłbym natychmiast, a najpewniej wyniósł się z miasta jeszcze tego samego dnia, by przez następne lata z sukcesem wspinać się po szczeblach dziennikarskiej kariery. Ale życie nie oferuje nam aż takich przywilejów. Kiedy już wiemy, jest za późno. Albo odwrotnie: kiedy można jeszcze coś zrobić, nie mamy pojęcia, co by to mogło być.

– Zaczęło się dwa tygodnie po pogrzebie teściów. Mąż poszedł do pracy, a ja zostałam w domu, ponieważ Piotruś miał lekką gorączkę i pozwoliłam im obu nie iść do szkoły. Wydawało się, że jakoś ochłonęliśmy po tragedii, chłopcy dali sobie z nią radę, tak przynajmniej twierdził psychiatra. Poszli do szkoły, wrócili do kolegów, wszystko wyglądało, no... jakby dobrze. Wtedy Piotrek dostał tej gorączki. Myślałam, że przeziębienie, ale nie miał kataru ani bólu gardła, nie kaszlał, tylko sama gorączka. Zwykle natychmiast zarażali się od siebie, ale Pawełek był zdrowy. Położyłam jednego do łóżka, drugiemu puściłam film na wideo i zesłam do kuchni. Po godzinie poszłam sprawdzić, co się dzieje, bo jakoś podejrzanie cicho się zrobiło. W proguomal nie zemdląłam. Obaj siedzieli na kanapie, a na ekranie szedł film o... o... – westchnęła z jękiem i spojrzała na mnie. Jej rozchylone wargi na ułamek sekundy połączyła nitka śliny, co wzmogło moje zainteresowanie. Powierciłem się na krześle.

– Jaki film?

– To było... nagranie stamtąd. Spod domku.

– Spod jakiego domku?

– Oni oglądali śmierć swoich dziadków! – jęknęła. – Rozumie pan? Film o przygniataaniu ich do ściany – zaszlochała. – Nie, ja tego nie wytrzymam!

Mąż przechylił się przez oparcie fotela i objął ją ramieniem. Wtuliła twarz w jego niebieski sweter i łkała cicho. Patrzyłem chwilę na oboje i dopiero kiedy do mojego mózgu – zajętego dotychczas łydkami i wargami z nitką śliny – dotarły jej słowa, wzdrygnąłem się. Brzmiały absurdalnie. Kobieta sprawiała wrażenie normalnej, to znaczy normalnie przejętej, nie było powodu jej nie wierzyć. Z drugiej strony – nie sposób było jej wierzyć.

Kiedy trochę ochłonęła, a ja zbierałem się do zadania pytań, powstrzymała mnie, unosząc dłoń. Lekko odepchnęła męża. Wzięła głęboką wdech, jakby miała wypić setkę wódki jednym haustem.

– To jeszcze nie wszystko. Film był niemy, bez dźwięku, i się powtarzał. Samochód rusza, przygniata mamę i tatę, oboje wybałuszają oczy, z ust chlusta krew, samochód odskakuje, a oni padają jak szmaciane lalki. I znowu od początku. Myślałam, że oszaleję! Wie pan, jak cofali taśmę? – Pokręciłem głową, ale ona nie zwracała na mnie uwagi. Mówiła do siebie. – Piotruś klaskał w dłonie, Pawełek śmiał się z uciechy i film szedł od nowa. Za trzecim razem wrzasnęłam na całe gardło i ekran na sekundę zgasł, a potem pojawił się film animowany, ten z taśmy. Później sprawdziłam, w kieszeni odtwarzacza znajdowała się kasetka z Królikiem Bugsem, którą tam włożyłam.

Skończyła i ciężko opadła na fotel. Oszołomiony, zastanawiałem się przez chwilę nad tym, co właśnie usłyszałem, a Kolanowscy spuścili głowy. Sami wyglądali jak dzieci. Historyjka brzmiała na tyle nieprawdopodobnie, że niemal wiarygodnie. Jest taki rodzaj bzdury, która wydaje się niemożliwa do wymyślenia i musi być prawdziwa. Nie wiedziałem, jak im powiedzieć, że to idiotyzm. Zamiast tego spytałem:

– Czy chłopcy to jakoś później tłumaczyli?

– Nie, niczego nie pamiętali. Albo świetnie udawali. Nie mam pojęcia, po co mieliby to robić, może to wszystko działo się, nie wiem, poza ich świadomością...

Odetchnęła i zakryła dłońmi twarz, jakby opowiedzenie strasznej rzeczy obcemu człowiekowi przyniosło jej ulgę. Fenomen spoowiedzi. Ryszard Kolanowski dzielnie znosił fakty z pełną ubolewania miną, a ja się zastanawiałem, czy jej wierzy, czy tylko udaje. Gdyby miał ją za wariatkę, wcale bym mu się nie dziwił. Tak myślałem wtedy, bo dzisiaj już nie.

Kiedy chwila się wysyciła i należało ją zakończyć, sięgnąłem dla odprężenia po filiżankę, siorbnałem łyk chłodnej już kawy i spytałem:

– Powiedziała pani „zaczęło się”. Czy jest jeszcze coś?

Pokiwała głową i lekko uniosła dłoń ku mężowi na znak, że panuje nad sobą. Posłusznie odsunął się na swój fotel.

– O tamtym nie dało się z nimi rozmawiać. Niczego nie pamiętali i dziwili się, o co mi chodzi. Nie jestem psychologiem, ale nie zauważyłam żadnych oznak kłamstwa czy, bo ja wiem, zmyślenia. Matka takie rzeczy u swoich dzieci natychmiast rozpoznaje. Przecież oni mają po siedem lat! Potem zaczęłam podejrzewać, że to ze mną było coś nie tak, i dałam spokój. Po trzech tygodniach, kiedy już prawie zapomniałam, tamto wróciło.

– Oglądanie filmu? – spytałem odruchowo.

– Nie. Coś innego. Z psem. Rysiek, ty opowiedz.

Kolanowski z przygnębioną miną łyknął wody ze szklanki, jakby chciał naoliwić struny głosowe, i przedstawił zdarzenie z psem. Zacząłem notować.

– Mieliśmy suczkę, foksteriera, nazywała się Kora. Pewnego dnia weszła na drzewo i skoczyła w dół. Nabiła się na pręty ogrodzenia i zginęła na miejscu.

– Czy foksteriery chodzą po drzewach?

– Pan sobie kpi.

– Nie kpię. Po prostu próbuję zrozumieć niezrozumiałe.

– Nigdy nie chodziła po drzewach, bo psy tego nie potrafią. Foksteriery również. Ale tamtego dnia wdrapała się po pniu jak kot, doszła do końca grubej gałęzi i skoczyła. Prowadził ją Pawełek, nasz syn.

– Co pan rozumie przez „prowadził”?

Ojciec miał świadomość, że mocno wykracza poza granice zdrowego rozsądku. Westchnął.

– Stał pod drzewem i powtarzał pod nosem „hop, hop”. Wiem, jak to brzmi. Gdybym nie widział i nie słyszał, sam bym nie uwierzył. Ale dokładnie tak było: Pawełek stał nieopodal starej jabłoni i powtarzał „hop, hop”. Jak treser. Kora przeszła na poziomy konar, sięgający niemal ogrodzenia, a kiedy klasnął i krzyknął głośniejsz „hop!”, skoczyła. Pręty przeszły przez nią na wylot. Gdy podbiegłem, już się nie ruszała.

– Chciała przeskoczyć za ogrodzenie? – spytałem, czując mrowienie w karku. Wyobraziłem sobie przebitego psa i krew ściekającą po metalowych prętach.

– Nie mam pojęcia, czego chciała – ciągnął Kolanowski. – Nie o nią chodzi, tylko o mojego syna. Kiedy Kora spadła na pręty, odwrócił się do mnie z uśmiechem. Podbiegłem do niej i stwierdziłem, że nie żyje, więc rzuciłem się za chłopcem. Już go nie było. Wpadłem do domu i pobiegłem na górę do ich pokoju, a oni siedzieli na kanapie i oglądali bajkę. Obaj! Porwałem Pawełka za rękę i szarpnąłem z całej siły, zrzucając go na podłogę. Zrobił wielkie oczy, jakby w ogóle nie rozumiał, o co chodzi. Potem zaczął płakać. Uderzyłem go w twarz tak mocno, że zatoczył się pod telewizor. Stuknął głową w kant nogi od stolika i zemdlał. Boże święty!

Zasłonił twarz dłońmi i teraz sam wyglądał na kogoś, kogo należało przytulić. Żona siedziała nieruchomo, a ja zastanawiałem się, co z tym wszystkim począć. Albo robili mnie w balona, a wtedy powinienem wyjść, trzaskając drzwiami, albo mówili prawdę, a ta nie mieściła się w żadnym z dopuszczalnych planów działania. Chyba jednak nie udawali. Nie wyglądali na oszustów, tylko na parę poważnych, dorosłych ludzi, których dzieci zaczęły wyprawiać niesamowite rzeczy. Zresztą po cóż mieliby oszukiwać? Nie znali mnie, ja też widziałem ich pierwszy raz na oczy. Nic nas nie łączyło. Do teraz.

Kiedy ochłonęli trochę, przeszedłem do konkluzji.

– Przepraszam bardzo, wszystko to brzmi niezwykle ciekawie i fascynująco, ale czego właściwie państwo ode mnie oczekujecie?

Kobieta podniosła na mnie zmęczony wzrok.

– A co mieliśmy zrobić? Zadzwoić na policję i powiedzieć, że nasze dzieci najpierw zabiły dziadków, a potem oglądały sobie film z egzekucji? A jak im się znudziło, dla odświeżenia wrażeń zabiły naszego psa, każąc mu włączyć na drzewo? Nie wiem, na ile pan nam wierzy, podejrzewam, że w ogóle, ale policja z pewnością odebrałaby to po swojemu, wezwałaby pogotowie. Do nas, nie do dzieci.

Faktycznie.

– Powiedzmy, że wierzę, ale nadal nie pojmuję, dlaczego właśnie ja – powiedziałem, rozkładając ręce. Kobieta rozpogodziła się i odparła szybko:

– Czytałem pana artykuł o tym dziecku, które rzucało nożami.

– A, tak. I co z tego?

– Widzi pan, to może mieć z tym coś wspólnego.

Dwa tygodnie wcześniej napisałem krótki zabawny tekścik o synku znajomego. Dzieciak w wieku sześciu lat rzucał nożami do celu jak stary nożownik. Nie wiadomo, kiedy się nauczył. Rodzice byli pod wrażeniem, ja też, więc popełniłem artykułik o nieznanym możliwościach naszych pociech: mały zapychacz na pół kolumny z morałem, że powinniśmy rozwijać lokalne talenty.

– I pani przypuszcza, że to jakoś łączy się z tresurą psów?

Wzruszyła ramionami. Jej zaczerwienione oczy znowu nabrały blasku, kiedy podniosła się i zarządziła:

– Niech pan pozwoli za mną.

Wyszliśmy z gabinetu i przez salon ruszyliśmy schodami na piętro. Ona pierwsza, ja za nią, z widokiem na pracujące pośladki, mąż na końcu. Otworzyła drzwi do jednego z pokoi i ujrzałem chłopców na kanapie przed telewizorem. Wyglądali jak najbardziej normalni chłopcy pod słońcem. Na ekranie Lord Vader machał świetlistym mieczem przed nosem mistrza Obi-Wana.

– Cześć, chłopaki! – zawołałem, a oni spojrzeli chmurnie. Dopiero kiedy mama wyłączyła wideo, przyjrzeni mi się uważniej.

– Za kim jesteście, za Vaderem czy Obi-Wanem? – spytałem, żeby przełamać lody.

– Za Vaderem – odparli zgodnie, jakby to było oczywiste. Tymczasem ojciec wyszedł zza moich pleców z tarczą do rzutek. Zdjął obrazek i zawiesił ją na ścianie, a jednemu z chłopców wręczył spory nóż z brązową rączką. Był to wojskowy bagnet – taki sam miałem w domu.

– Pawełku, pokaż panu.

Mały wstał z kanapy, zważył w dłoni bagnet, złapał go za klingę i prawie nie mierząc, rzucił. Nóż świsnął w powietrzu i wbił się dokładnie w dziesiątkę. Patrzyłem przez chwilę, oniemiały, po czym podszedłem do tarczy. Od spodu była deska i nóż przebił ją niemal do samej ściany. Trochę się pomęczyłem, nim go wyjąłem. Robiąc dobrą minę do złej gry, krzyknąłem z uśmiechem:

– Brawo, mały! Lord Vader cię tego nauczył?

Nie odezwał się, tylko zerknął niepewnie na rodziców. Stali z ponurymi minami, jak na pogrzebie. Podszedłem do chłopca i wesoło poklepałem go po ramieniu. Byłem jedynym rozbawionym stworzeniem w tym domu.

– Jesteś świetny, naprawdę. Mógłbyś to powtórzyć?

Mały nie zastanawiał się ani przez sekundę. Schwycił bagnet, wziął zamach i rzucił. Tym razem nie tylko trafił dokładnie w to samo miejsce, ale uderzenie okazało się tak silne, że ostrze przeszło na wylot i rozłupało tarczę na dwie połowki, które z hukiem spadły na podłogę. Nóż tkwił w ścianie. Przestałem się uśmiechać. Mały przestąpił z nogi na nogę i spytał:

– Mamo, mogę już iść?

Kolanowska bez słowa skinęła głową. Mąż stał nieporuszony jak głaz i patrzył na mnie. Ja przeskakiwałem wzrokiem z chłopców na rodziców i z rodziców na chłopców, czując, jak beztroski uśmiech spływa z mojej twarzy niczym makijaż z klauna.

W ten oto sposób w październiku 1994 roku zostałem dziecięcym detektywem w Oszpicynie. Śledztwo miało potrwać piętnaście lat i zmarnować mi życie.

W mieście niedaleko Krakowa dzieją się niepokojące rzeczy. Ludzie zaczynają ginąć w makabrycznych okolicznościach, dzieci zamieniają się w morderców, szczury atakują mieszkańców, a wszyscy zajadłe próbują odnaleźć pewien zakopany skarb. Coś opętało to miasteczko – coś, co dotąd było głęboko uśpione.

To miasto znają wszyscy. To Oświęcim.

Ale nikt nie wie, co tak naprawdę się tu dzieje, nawet dziennikarz, który prowadzi własne śledztwo. On jako pierwszy musi zmierzyć się z prawdą: demony przeszłości potrafią ożyć w każdej chwili. I stanowić realne zagrożenie.



cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



POCISK
MAGAZYN LITERACJI KRYMINALNY

lubimyczytać.pl

